

Miejsce na identyfikację szkoły

ARKUSZ PRÓBNEJ MATURY Z OPERONEM JĘZYK POLSKI

POZIOM ROZSZERZONY

LISTOPAD
2012

Czas pracy: 180 minut

Instrukcja dla zdającego

1. Sprawdź, czy arkusz egzaminacyjny zawiera 8 stron. Ewentualny brak zgłoś przewodniczącemu zespołu nadzorującego egzamin.
2. Wypracowanie napisz w miejscu na to przeznaczonym.
3. Pisz czytelnie. Używaj długopisu/pióra tylko z czarnym tuszem/atramentem.
4. Nie używaj korektora, a błędne zapisy wyraźnie przekreśl.
5. Pamiętaj, że zapisy w brudnopisie nie podlegają ocenie.
6. Możesz korzystać ze słownika poprawnej polszczyzny i słownika ortograficznego.

Życzymy powodzenia!

Za napisanie
wypracowania
można otrzymać
łącznie **40 punktów**.

Wpisuje zdający przed rozpoczęciem pracy

--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--	--

PESEL ZDAJĄCEGO

--	--	--

**KOD
ZDAJĄCEGO**

**Tworzenie tekstu własnego w związku z tekstem literackim zamieszczonym w arkuszu
Wybierz temat i napisz wypracowanie nie krótsze niż trzy strony (około 250 słów).**

**Temat 1. Literackie obrazy pogody. Dokonaj analizy i interpretacji podanych fragmentów,
zwróć uwagę na funkcję języka w budowaniu nastroju.**

Władysław Stanisław Reymont, *Chłopi* (fragment)

Burza rozsrożyła się już na dobre, niebo posiniało kiej wątroba, kurz zakotłował wielgachnymi kłębami, topole z jakimś szlochaniem i krzykiem przyginały się do ziemi, zawyły wiatry i jeły coraz zapamiętałej walić się na zboża pierzchające we wszystkie strony i rycząc kiej byki zjuszzone, rypnęły w lasy zwarte, rozchybotane i wniebogłosy szumiące.

Grzmoty już szły za grzmotami, przewalając się z hurkotem wskroś całego świata, jaże ziemia dygotała i chałupy się trzęsły.

Zwite kołtuny miedzianogranatowych chmur zwiesiły nisko spęczniałe opuchłe kałduny i coraz to któraś się rozpekła, trzaskał pierun i buchały potoki oślepiającej jasności.

Niekiedy sypał rzadki grad trzeszcząc po liściach i gałęziach.

A w sonej ćmie dnia, kurzawy i gradów targały się rozpaczliwie drzewa, krzaki i zboża jakby rwiąc się do ucieczki, ale bite wichurą ze wszystkich stron, ślepione piorunami, obłąkane hukiem, kręciły się jeno i szarpały z dzikim poświstem, a kajś z wysoka, przez chmury, ciemnicę i rozwieję przelatywały modre łyskawice, leciały niby stado węzów ognistych, leciały wyrwane skądś i nie wiadomo kaj ciskane, leciały migotliwe a zagubione, oślepiające wszystek świat, a ślepe i nieme kiej dola człowiekowa. I trwało tak z przerwami do samego wieczora, dopiero na samym zmierzchu całkiem się uspokoiło i przyszła noc cicha, ciemna i chłodnawa.

A nazajutrz dzień podniósł się bardzo cudny, niebo było bez chmur i modrzało kiej opłukane, ziemia polśniewała rosami, śpiewały radośnie ptaki, a wszelaki stwór pławił się z lubością w rzeźwym, pachnącym powietrzu.

W. S. Reymont, *Chłopi*, tom IV, Wrocław 1999, s. 669–670.

Jarosław Iwaszkiewicz, *Brzezina* (fragment)

Trzy następne dni, przez które deszcz lał bez najmniejszego przestanku, były najszcześliwszymi dniami w życiu Stasia. Harmonia świata, która mu się odkryła tego wieczora – przyprowadziła go o uczucie niezwyklej pełni, ponad którą unosił się szept ciepłego i nieustannego deszczu. Wszystko było piękne i jak gdyby skomponowane w obraz czy w utwór muzyczny. Lipa, opierająca się mokrymi liśćmi o dach i prawie o okno jego pokoju, miała kształt doskonale zrobionej powieści, dzielącej się przemyślnie na konary i uwieńczonej zielenią. Gdy poczynał się budzić z rana, do uspiionej jeszcze świadomości przedzierały się dźwięki kropel, miarowo kapiących z dachu, i turkot wody, ściekającej rynną do podstawionej beczki. Mieszając się ze snem, muzyka ta przypominała dźwięki orkiestry, jakie czasem przygrywają nam w nocy. Wyobrażał sobie, że jest w olbrzymiej sali, gdzie jest mnóstwo ludzi, i że wszyscy oni słuchają szemrania instrumentów. Potem powoli, nie otwierając powiek, spostrzegął zieloną jasność, idącą od okien, potem przenikał go dreszcz z głębokiej rozkoszy istnienia. I tak zaczynał się dzień, zmierzający do końca zupełnie bez zdarzeń, ale przepełniony wewnętrznym światłem. [...]

W południe deszcz stawał się gęstszy, cięższy, bardziej przenikliwy i nie można było nawet podejrzewać, że za tymi obłokami, które tak nisko opadły nad sosny, jest słońce letnie i niebo niebieskie. Ale Staś nie szukał oczami niebieskiego nieba. Mogło się ono już mu nie ukazać nigdy, deszcz cieszył go i radował chłód, który przenikał go, gdy tak stał przy oknie i patrzył na szare welony mgły, wieszające się na czarnych gałęziach, omytych z kurzu sosen. Więc jednak znalazłem – powtarzał sobie na zmianę. I nie trzeba mu było zadawać pytania, co znalazł. Była to jakaś treść ukryta i niewyraźna, jakaś odwrotna strona, podszełka wszystkiego, co widział, drzew, domów, budynków, ludzi. Coś, co było tłem i istotą zarazem tego, a co napełniało go równą, niezmienną radością. Bał się, iż wszystko się zmieni przy pierwszym promieniu słońca, i z niepokojem śledził, czy się nie wyjaśnia. Ale deszcz równy, czasem tylko zmieniając swój rytm, uderzał o gonty dachu i strumyk, spływający z rynny do beczki, szemrał jednakowo głośno i gwałtownie.

J. Iwaszkiewicz, *Brzezina*, Warszawa 1987, s. 356–359.

Temat 2. Analizując i interpretując *Testament mój* Juliusza Słowackiego oraz *Non omnis moriar* Zuzanny Ginczanki, przedstaw sposób kreowania podmiotu lirycznego oraz sytuacji, w jakiej się on znajduje. Zwróć uwagę na językowe ukształtowanie obu tekstów.

Juliusz Słowacki *Testament mój*

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,
Dziś was rzucam i dalej idę w cień – z duchami –
A jak gdyby tu szczęście było – idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia: –
Imię moje tak przeszło jak błyskawica
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode;
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął – z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś – o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny – przyzna kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą –
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
I zapiją mój pogrzeb – oraz własną biedę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg [mię] uwolni od męki – nie przyjdę...

Lecz zaklinam – niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec!...

Co do mnie – ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć – niepłakaną trumnę.

Kto drugi bez świata oklasków się zgodzi
Iść... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami niepełnej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi:
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba – w aniołów przerobi.

Brudnopis (*nie podlega ocenie*)